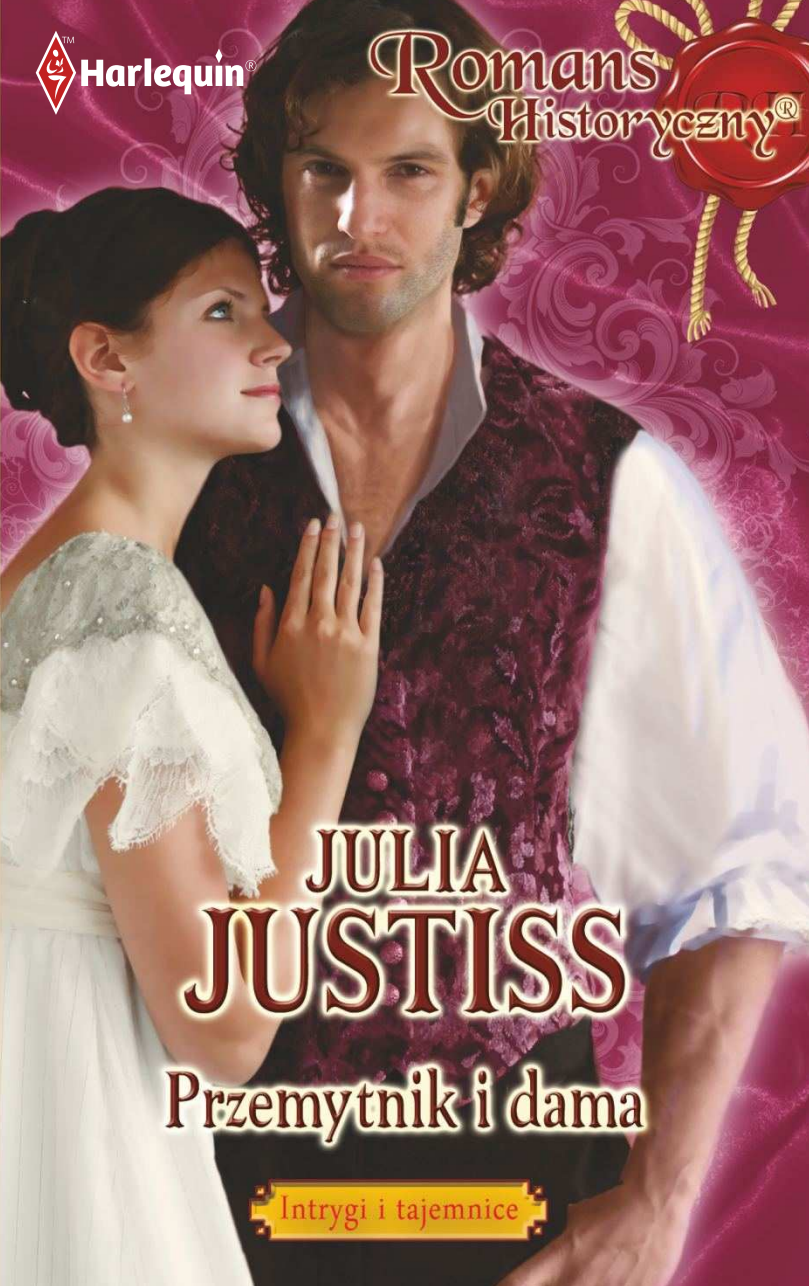




Harlequin®

Romans
Historyczny®



JULIA
JUSTISS

Przemytnik i dama

Intrygi i tajemnice

Julia Justiss

Przemytnik i dama

Tłumaczyła
Barbara Ert-Eberdt

Tytuł oryginału: The Smuggler and the Society Bride

Pierwsze wydanie: Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Barbara Syczewska-Olszewska

Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Marianna Chałupczak

© 2010 by Janet Justiss

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin
i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTExT®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8338-8

ROMANS HISTORYCZNY – 336

Rozdział pierwszy

Sennlack Cove, Kornwalia, maj 1814 roku

Krzyki krążących nad głową mew zagłuszał huk fal rozbijających się o skały. Lady Honoria przystanęła na skraju klifu i spojrzała w dół, ku zatoczce. Trwał odpływ. Wycofujące się morze odsłoniło długą łąkę srebrzystego piasku. Ucieszyła się. Zboczyła ze szlaku na wijącą się ścieżkę, wiodącą w dół, ku plaży.

To ustronne miejsce zauważyła już podczas jednego z pierwszych spacerów po przybyciu miesiąc temu do Kornwalii. Posłuchiwała rady ciotki Foxe, żeby spożytkować rozsadzającą ją energię na poznanie nadmorskiego klifu, nad którym stał ich kamienny dwór, oddalony kilka mil od wioski Sennlack.

Uśmiechnęła się smutno. Opuszczając Londyn, marzyła o ucieczce od ludzi i izolacji. Znalazła je. Kiedy jej powóz mijał Penzance, a osiągnąwszy Land's End*, skręcał na trakt biegnący do Foxeden, domu ciotki górującego nad morskim urwiskiem,

* Nazwa przylądka, najdalej na zachód wysuniętego punktu w Anglii. Po angielsku znaczy koniec, skraj lądu (przyp. tłum.).

miała wrażenie, że rzeczywiście znalazła się na końcu świata. A przynajmniej z dala od londyńskiej socjety i rodziny, która ją zdradziła i odrzuciła.

Rozprysnięte o skały fale kołysały się pod wytworzonym na wierzchu kożuchem piany. Czy jakiś ślad pozostanie na powierzchni, gdy ona zdobędzie się kiedyś na poskładanie w całość swojego rozbitego życia? U stóp urwiska było dość zacisznie, Honoria zsunęła na plecy szal, którym wcześniej był przewiązany jej kapelusz.

Woda obmywająca plażę w zatoczce wyglądała spokojnie, prawie zachęcająco. Uśmiechnęła się na wspomnienie leniwych letnich popołudni w dzieciństwie. Namawiała starszego brata, Hala, i każdego z jego przyjaciół, którzy akurat u nich gościli, aby razem wymknąć się nad staw. Ubrana w pożyczone od chłopców spodnie i koszulę, uczyła się pływać w gęstej od wodorostów toni, wynurzając się triumfalnie na powierzchnię cała umazana mułem z dna.

Któregoś lata – właśnie przypadały jej siódme urodziny – gościem brata był Anthony. Honoria postanowiła nie myśleć o byłym narzeczonym. Nie będzie psuła sobie przyjemności obcowania z bezkresem złymi wspomnieniami z przeszłości, której i tak nie może odmienić.

Skupiła się na pięknym widoku, jaki roztaczał się w zatoczce. Było tu niemal sielsko i zastanawiała się, czy nie zdjąć butów i nie zamoczyć stóp. U schyłku wiosny woda wpływająca z morza przez wąski otoczony skałami przesmyk musiała być, w odróżnieniu od nagrzanego letnim słońcem stawu w Stanegate Court, bardzo zimna.

Wzrok Honorii powędrował ku wejściu do zatoki. Jej uwagę przykuł błysk słońca odbitego od białego żagla. Światło słoneczne raziło w oczy, ale przez zmrużone powieki dostrzegła niewielką łódź płynącą w stronę brzegu.

W polu widzenia ukazała się druga łódź, najwidoczniej ścigająca tę pierwszą, która w ostatniej chwili przed wejściem w przesmyk wykonała zwrot i umknęła na pełne morze. W następnej chwili ścigająca łódź wpadła między skały oddzielające zatoczkę od morza i zatrzymała się gwałtownie. Pierwsza znikła z pola widzenia, z pokładu drugiej zwała się w toń bezwładna postać ludzka.

Łódź musiała natrafić na podwodną skałę, domyśliła się Honorio. Przeniosła uwagę z kołysanej falami łodzi na człowieka za burtą. Wyłynął na powierzchnię, chwilę bił bezradnie ramionami, po czym zniknął pod wodą.

W porze odpływu zatoczka była dość płytka, jednak by dotknąć nogami dna, ów człowiek powinien przepłynąć jeszcze dobrych kilka jardów. A jeśli został ranny podczas upadku? Czy umiał pływać? Honorio obserwowała go. Wynurzył się ponownie, zniknął pod wodą i wcale nie przybliżył się do brzegu.

Klnąc pod nosem – tych przekleństw nauczyła się od Hala – rozglądała się gorączkowo po plaży. Zauważyła wyrzuconą na piasek deskę. Błyskawicznie zrzuciła pelerynę, żakiet i buty, odpięła ciężką spódnice amazonki. Zamierzała się dostać dostatecznie blisko do tonącego, żeby podać mu deskę.

Straciła niemal nadzieję, że jej się to uda, gdy ze skał zamykających wejście do zatoczki wskoczył do

wody mężczyzna. Honoria zatrzymała się. Rozprysnięta woda chlupnęła nad jej głową. Mężczyzna ciał powierzchnię wody szybkimi, wprawnymi ruchami, chwilę później uchwycił tonącego za ramię i zaczął go holować do brzegu. Odetchnęła z ulgą i skierowała się ku plaży. Dopiero wtedy zauważyła sznur wozów podskakujących na nierównościach szlaku nad klifem sterczącym nad zatoczką. Nagle te „regaty” nabrały sensu.

Przemytnicy! Zatoczka musiała służyć przemytnikom do przechowywania kontrabandy. W okolicy krążyły o tym legendy. Pierwsza łódź prawdopodobnie próbowała odciągnąć drugą od miejsca, w którym pod osłoną nocy złożono trefny towar, by go potem przewieźć w głąb łądu. Mokre ubranie hamowało swobodę ruchów Honorii. Zatrzymała się na chwilę w płytkiej wodzie, by złapać oddech i popatrzeć, jak ratownik holuje do brzegu swój ciężar.

Podziw nad jego brawurą przekształcił się w oszłomienie widokiem męskiej sylwetki. Nieznajomy podniósł się na nogi, gdy dotarł do płyčizny. On także zrzucił z siebie ubranie, zanim skoczył na ratunek tonącemu. Woda ściekała po nagim torsie, ramionach i pięknie umięśnionej piersi na płaski brzuch. Mokra spodnie ściśle przylegały do ciała, uwidoczniając wydatny kształt.

Rumieniec pokrył policzki Honorii. Spojrzała wyżej i dostrzegła białą bliznę przecinającą zebra i drugą na lewym ramieniu, wreszcie popatrzyła na twarz i jej wzrok zderzył się z przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu pływaka. Poczuła, jak jej wargi unoszą się w uśmiechu, gdy patrzyła na tę wyraziście zaryso-

waną twarz i okalające ją czarne włosy. Muskularnym ramieniem holował kaszlącego, plującego wodą niedosłego topielca.

Honorja zauważyła poniewczasie, że teraz on poddawał ją oględzinom równie skrupulatnym, jak to ona czyniła przed chwilą.

– Hej, dziewczyno! – zawołał. Wyczuła ledwo słyszalny akcent irlandzki. – Czyżbyś była wyłaniającą się z morskiej piany Afrodytą?

Honorja znowu spłonęła rumieńcem, albowiem uświadomiła sobie, że stoi po kostki w wodzie, a mokra koszula oblepiająca jej nogi i brzuch jest prawdopodobnie prawie przezroczysta.

– Dobrze się pan spisał – rzuciła.

Odwróciła się i uciekła. Na brzegu w pośpiechu nakryła się zapiaszczoną peleryną. Zdrętwiałe z zimna palce z trudem radziły sobie z zawiązaniem troczka. Schylając się, by pozbierać żakiet, spódnicę i buty, zauważyła, że wąska plaża zaczyna się zaludniać. Ludzie ci przyszli po ukrytą kontrabandę, by ją rozprowadzić w głąb lądu.

Honorja zdała sobie sprawę, że głównym przedmiotem ich zainteresowania nie jest bohaterski pływak, nie są nim także skryte w skalnych załomach towary, lecz ona. Prawie fizycznie czuła na sobie łakome spojrzenia mężczyzn, lustrujące jej postać od mokrych włosów po bosa stopy.

Spanikowana, zerwała się z kamienia, na którym przysiadła, aby włożyć buty. Nie zważając na wołanie przystojnego ratownika, żeby zaczekała, utorowała sobie drogę przez otaczający ją krąg i pobięła ku ścieżce wiodącej na szczyt urwiska.

Gabriel Hawksworth podązał wzrokiem za uciekającą z plaży płowowłosą dziewczyną. Porzucił na piasku plującego słoną morską wodą niedosłego topielca. Chwilę potem zajęli się nim wieśniacy. Odprowadzili w głąb lądu, przedtem jednak założyli opaskę na oczy i skrępowali mu ręce.

Gabe otrząsnął się jak pies. Było mu zimno na wietrze. Ucieszył się, że wśród zgromadzonych znalazł się Richard Kessel, dawny kolega z wojska, zwany Dickinem, właściciel kutra, na którym Gabe sprawował tymczasowo funkcję szypra.

– Niezły z ciebie pływak – powitał Gabe’a Dickin, okrywając go kurtką. – Miejmy nadzieję, że stary George tak się ucieszy, że uratowałeś jego człowieka, że weźmie mniejszą dolę od przemyconego towaru. Nie spodziewaj się jednak aplauzu ze strony miejscowych. Będąc nowicjuszem, nasz ociekający wodą przyjaciel – Kessel wskazał głową odprowadzanego – jest wyjątkowo gorliwy; nie zawahałby się przyłożyć pistoletu do głowy żadnemu z nas, nie wyłączając ciebie.

– Trzeba było pozwolić morzu, by go zabrało – odezwał się brat Dickina, John.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedział Dickin.

– Można było naturze pomóc – mruknął pod nosem John.

– Szkoda, że nie ty skoczyłeś za nim do wody, braciszku – odpalił Dickin. – A swoją drogą, co za pomysł ściągać towar na ląd w biały dzień, wiedząc, że brzeg patroluje ten nowy? To kuszenie losu.

– Zakładałem, że nawet jeśli ten strażnik nadaży za Thomasem, co było mało prawdopodobne, bo An-

glicy nie znają wybrzeża, Thomas mimo wszystko zdoła go zgubić – bronił się John.

– Tak, nawet gdyby przyszło mu go utopić – upierał się Dickin.

– Co cię obchodzi, że ubyłoby jednego agenta królewskiego? – zezłościł się John. – Poza tym ja zajmuję się odbiorem towaru i decyduję, jak, kiedy i gdzie powinien on dotrzeć.

– Jeśli masz narażać ludzi i łodzie na niebezpieczeństwo, to może nie powinieneś się tym zajmować.

Gabe w milczeniu przysłuchiwał się kłótni braci, po czym powiedział:

– Obiecuj, Dickin, że strażnik bezpiecznie dotrze do miasta. Los człowieka na morzu jest w ręku Boga. Na lądzie jest inaczej. Nie chciałbym cię opuszczać, wiem, że potrzebujesz szypra na „Rybitwę”, ale nie będę maczał palców w morderstwie.

– Wydelikatniało ci ostatnio sumienie, Gabe – zauważył Dickin.

– Mieliśmy kiedyś takie same skrupuły. Nie zastrzeliłeś francuskiego jeńca na wojnie. Nie zostawiłeś też żadnego partyzantom, choć Bóg świadkiem, że Hiszpanie mieli swoje powody, aby nie cackać się z Francuzami. A teraz kupujesz od naszych dawnych wrogów brandy, jedwab i koronki.

– Fakt. – Dickin zgodził się bez oporów. – Wojna to wojna, a handel to handel – zauważył sentencjonalnie. – Strażnik popełnił błąd, że ścigał Thomasa za dnia. Jak chce się walczyć z przemysłem, trzeba lepiej znać wybrzeże.

– Albo wypuszczać się na łowy nocą.

– Wątpię, by któryś z nich chciał się mierzyć

z morzem po ciemku. Tylko nieliczni Kornwalijczycy są takimi głupimi ryzykantami, jak wy, Irlandczycy. I takimi dobrymi żeglarzami.

– Ignoruję przytyk do mego pochodzenia i akceptuję komplement – odparł ze śmiechem Gabe.

– Wiesz co? Gdybyś kupił własną łódź, my dwaj moglibyśmy na stałe utworzyć dobry zespół. Chyba że zmieniłeś zdanie i zamierzasz wrócić do domu, żeby siedzieć na garnuszku u brata?

Gabe ujrzał oczyma wyobraźni rodzinny dwór w Ballyclarig, wśród smaganych wiatrem irlandzkich wzgórz, i niezadowoloną twarz starszego brata.

– Jeszcze nie wiem, co zrobić, ale nie wybieram się z powrotem do Irlandii. Właśnie się zastanawiałem, gdzie by osiąść, gdy złożyłeś mi propozycję.

– Dobrze się stało, bo jak byś całkowicie wyliżał się z ran, to chyba z bratem pozabijalibyście się, jeśli on jest taki zasadniczy, jak go opisywałeś. – Kessel klepnął przyjaciela w ramię. – Nic w tym dziwnego. Bracia często ze sobą walczą. Popatrz na mnie i Johna.

Jak Gabe sięgał pamięcią, brat krytykował wszystko, co on zrobił lub powiedział.

– Najlepiej zejdź mu z drogi – orzekł Dickin. – Czy ta twoja szacowna rodzinka nie wyrzekłaby się ciebie na zawsze, gdyby się dowiedziała, w jaki sposób pomagasz staremu druhowi z wojska?

Gabe wyobraził sobie zgorszenie, jakie zagościłoby na pełnej godności twarzy pedantycznego sir Nigela Hawkswortha, gdyby odkrył, jakiemu zajęciu oddaje się jego nieodpowiedzialny brat. Nie dość, że

wyrzekłby się go na zawsze, to jeszcze nasłabły na niego agentów królewskich.

– Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym – zaproponował. – Kim jest ta czarująca Afrodyta, która rzuciła się do wody? Nigdy jej dotąd nie spotkałem. Sądząc po życzliwości okazanej celnikowi, nie przebywa na stałe w Kornwalii.

– Nie przebywa – potwierdził Dickin. – Nie wiem, jak się nazywa, ale to nie żadna Afro... coś tam. Moja siostra, Tamsyn, która jest pokojówką we dworze Foxeden, mówi, że przyjechała w gościnę do panny Foxe. To jej krewna. Czasami widuję ją spacerującą po klifie.

Po raz pierwszy Gabe poczuł cień sympatii do zatrudnionego przez ojca nudnego kłeryka, który wbijał do głowy niezainteresowanemu nauką młodszemu synowi chlebobdawcy elementy wiedzy niezbędnej dżentelmenowi.

To głównie dzięki temu nieuznającemu żadnych odstępstw od narzuconej przez ojca dyscypliny guwernerowi Gabe przy pierwszej nadarzającej się sposobności uciekł do wojska. Nieraz się zastanawiał, jak zdołałby się wymknąć spod ciężkiej ręki rodzica, gdyby nie wybuchła wojna z Napoleonem.

– Krewna panny Foxe – powtórzył w zamyśleniu. – Na długo przyjechała? Nie wiesz przypadkiem? – dociekał.

– Zapytam Tamsyn, może się dowie. Nie wystarczy ci wszystkie wzdychające do ciebie w okolicy dziewczyny, pchające ci się na wyprzódki do łóżka? Chciałbyś upolować nową zdobycz?

– Co ja poradzę, że jestem piękny i młody – rzekł

ze śmiechem Gabe, uchylając się przed kuksańcem przyjaciela.

– Zaraz umrzesz z wychłodzenia, jeśli nie przebierzesz tego swojego pięknego i młodego ciała w suche ubranie. Sprawisz mi kłopot, bo stracę nie tylko świeżo zatrudnionego szypra, ale i najbliższego kompana z wojska. Idź już, muszę pomóc chłopakom załadować towar na wozy. Zobaczymy, jakie wiadomości przyniesie Tamsyn na temat tej panny.

– Będę wdzięczny. – Gabe skłonił się z galanterią.

– Przekonamy się jak bardzo, gdy przyjdzie czas postawić mi kolejkę. Do zobaczenia w gospodzie.

Gabe ruszył ścieżką na szczyt klifu. Dobrze zorganizowana grupa marynarzy i ludzi z wioski sprawnie uwijała się ze ściąganiem zatopionych beczek na brzeg, ładowaniem ich na taczki, wtoczeniem pod górę, gdzie już czekały wozy. Jeden czy drugi odpowiedzieli kiwnięciem głową na pozdrowienie, większość ignorowała Gabe'a. Wiedział, że to normalne. Przemysłowcy nie przyglądają się sobie zbyt uważnie. Jeśli wpadniesz w ręce władz, możesz z czystym sumieniem zapewnić, że nikogo nie widziałeś.

Gabe odnalazł konia i pojechał do domu – to jest do Sennlack, do gospody „Pod Mewą”, w której wynajmował pokój. Gospoda należała do Perrana, ojca Dickina i Johna.

Pół roku, które obiecał koledze spędzić jako szyper na „Rybitwie” w podzięce za uratowanie życia pod Vitorrią, wygaśnie pod koniec lata. Gabe jeszcze nie postanowił, co będzie robił potem. Nie przyrzekł Nigelowi, że wróci do domu. Wyjeżdżając, nie wdawał się w szczegółowe wyjaśnienia. Na odjezdnym Nigel

zauważył z przekąsem, że ma nadzieję, iż młodszy brat, udając się na morze, nie zniweczy niegodnym postępowaniem zasług, którymi w chlubnej służbie wojskowej zmazał wszelkie niegodziwości, jakimi wcześniej splamił honor rodziny.

Gdy Dickin przyjechał prosić o przysługę, która wymagała przymknięcia oka na obowiązujące prawo, Gabe zgodził się bez wahania. Po wielomiesięcznej beczynności, w czasie której leczył wojenne rany, ucieszyła go możliwość spełnienia młodzieńczej miłości do morza. Czuł, że ostry, południowo-zachodni wiatr przywróci mu w pełni zdrowie i siły, i znowu będzie miał cel w życiu, co z tego, że niezbyt zgodny z prawem.

Wprowadzając konia do stajni w gospodzie, Gabe doszedł do wniosku, że najuczciwiej byłoby się przyznać, że po przeżyciach wojennych musiał uznać egzystencję w Irlandii za niewyobrażalnie nudną. Na morzu, gdzie zza każdego załamania wybrzeża mogło się wyłonić śmiertelne niebezpieczeństwo w postaci zdradzieckiej mielizny lub przyczajonego strażnika, oddychał pełną piersią.

Chociaż dowódca królewskiej straży ochrony wybrzeża, George Marshall, był w zmowie i przymykał oko na przemyt pod warunkiem, że regularnie miał udział w każdej partii towaru, zawsze mógł się znaleźć jakiś nowy, jak ten, co nadział się dzisiaj na skalę, który serio traktował obowiązek zwalczania wolnego handlu. Do procesów sądowych dochodziło rzadko, a jeszcze rzadziej do skazania przez kornwalijską ławę przysięgłych, istniało jednak niebezpieczeństwo dokonania żywota w Newgate ze stryczkiem na szyi